

Notatnik teatralny

Szczerze mówiąc nie byłbym specjalnie zdziwiony, gdyby okazało się, iż moja recenzja była jedną z kilku o tym samym tytule. Zdecydowałem się nań, choć byłem świadom, że może to być uznane za pójście po linii najmniejszego oporu. Spieszę jednak wyjaśnić, iż uczyniłem tak nie tylko dlatego, że song o tym właśnie tytule wszedł na stałe do galerii największych musicalowych przebojów. To oczywiście miało znaczenie, ale nie było powodem decydującym. O tym jednak nieco później.

Dzieje powstawania „Człowieka z La Manchy” dość szczegółowo przedstawione są w programie spektaklu, toteż nie będę ich tu powtarzał. Zwraca jednak uwagę, jak bardzo są one podobne od dziejów realizacji innego, wcześniejszego o 80 lat i miesiąc, arcydzieła teatru muzycznego - „Barona cygańskiego” Johanna Straussa - syna. W obydwu przypadkach, w Wiedniu 1885 roku i w Nowym Jorku w roku 1965, podczas trwania prób zanosiło się, jeśli nie na klape, to co najwyżej na chłodne przyjęcie. A jednak stało się inaczej. Prapremiery okazały się tryumfami, które przeszły najśmielsze oczekiwania t wórców. A potem były olśniewające kariery.

Piszę o tym nie po to, by popisać się erudycją - są to przecież fakty dobrze znane. Przypominam owe dawne dzieje dlatego, że i o lubelskiej inscenizacji „Człowieka z La Manchy” mówiło się różnie. I to zanim jeszcze ktokolwiek mógł je zobaczyć na scenie. Słyszałem opinie - mniejsza teraz o to, od kogo - iż tym razem **Andrzej Rozhin** podjął się przedsięwzięcia zbyt ambitnego, że zespół teatru im. Osterwy nie podoła mu, że jest to sztuka zbyt

ŚNIĆ SEN

trudna w swej warstwie muzycznej. Czy jest tak naprawdę? Otóż jest akurat na odwrót. „Człowiek z La Manchy” - podobnie jak zrealizowany wcześniej „Sztukmistrz z Lublina” - jest spektaklem jakby stworzonym specjalnie na potrzeby takiego zespołu, jaki ma w swym teatrze dyrektor Rozhin. Będącym w istocie wspaniałym połączeniem teatru dramatycznego z musicaliem. Jak „Opera za trzy grosze” a jeszcze bardziej może „Wielkość i upadek miasta Mahagonny” Brechta i Weilla. Temu zespołowi to - jak sądzę - odpowiada i potrafi on to robić.

A zespół to przecież ludzie i ich role. Powiedzmy też od razu - role dobre i bardzo dobre, a w dwóch przypadkach - **Zbigniewa Pudzianowskiego** i **Teresy Filarskiej** - znakomite. Pudzianowski jako **Cervantes - Don Kichot**. Jest rzeczą zasadną utożsamienie tych postaci. „Dlaczego wy, poeci, tak przepadacie za obłąkanymi?” - pyta w pewnym momencie jeden z więźniów, „Książę”. „Myślę, że mamy

A obok nich inni, o których także wypada choćby wspomnieć. **Anna Świetlicka** w pysznym epizodzie mauretańskiej tancerki, **Piotr Wysocki**, operujący na ekstremach, od chłodnego Księcia po groteskowego Doktora Carrascio, **Marek Milczarczyk**, który wylania się z ciemnego kąta więziennego lochu i tworzy błyskotliwą rolę Padre, wreszcie **Ryszard Borkowski** w świetnie zaśpiewanym songu „Ptaszku piej, ptaszku piej”. Chyba nie tylko mnie zapadli w pamięć.

I tak to właśnie wygląda. Od pierwszych gitarowych akordów aż po finałowe wykonanie songu „Śnić sen”. A potem już zapalają się światła i przychodzi pora przebudzenia. Lecz nie martwmy się - ów sen może powrócić. **Don Kichot - Rycerz Smętnego Oblicza** - wciąż żyje.

Andrzej Z. Kowalczyk

Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie; „Człowiek z La Manchy”; muzyka: **Mitch Leigh**; libretto: **Dale Wasserman**; piosenki: **Joe Darion**; przekład: **Antoni Marianowicz** i **Janusz Minkiewicz**; reżyseria i dekoracje: **Andrzej Rozhin**; kierownictwo muzyczne: **Mieczysław Mazurek**; kostiumy: **Ewa Żylińska**; choreografia: **Jacek Tomasiak**; współpraca scenograficzna: **Ireneusz Salwa**. Premiera: 11 listopada 1992 r.

EXPRESS

FAMTY

17.11.1992